Świat powieściowy.

Nr. 141 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

Innym razem byłby okazał więcej interesu dla kolebki rodu swojego, byłby chętnie oglądał wszystko szczegółowo, dziś atoli był niesłychanie roztargniony, gdyż pilno mu było skończyć jak najrychlej oględziny. Jednak, mimo iż myśl jego była w inną stronę skierowana, wyrwał mu się okrzyk zachwytu, gdy zarządca zaprowadził go na terasę zamkową.

Piękny był też to widok i nader urozmaicony. — U stóp zamku, na stoku góry zbudowanego, leżała wieś cała w grupach malowniczych, sadami i kępami innych drzew przeplatana. Po drugiej stronie ciągnęły się wspaniałe ogrody zamkowe, mimo późnej jesieni wabiące oko grą kolorów i cudownemi okazami drzew najrzadszych, równie starych jak ród Werdenfelsów. Wzdłuż wsi i po pod park zamkowy, toczyła z szumem i hukiem fale rzeczka górska. Rozlewając się już szerokiem korytem w tem miejscu, płynęła trochę spokojniej i raźniej, nie w tak szalonych kaskadach jak u źródła swojego, pomiędzy skałami w Felseneck. I tu jednak mogła widocznie stać się groźną, skoro park zamkowy odgraniczył się od niej wysoką tamą z kamieni, na cemencie murowaną, i wałami olbrzymiemi jak w jakiej fortecy. Wały były ślicznie utrzymane, murawą jak aksamit puszystą porosłe, otoczone płotem w łuki okrągłe strzyżonym, podnosiły niemal parku malowniczość. Nie mniej jednak powstały one z potrzeby rzeczywistej, nie dla fantazji tylko.

— Cudowne położenie! — Paweł zawołał z uniesieniem. — Niema prawie zamku królewskiego, któryby mógł pochwalić się równie piękną naturą, posiłkowaną tak wspaniale wszystkiem. na co tylko zdobyć się może sztuka ogrodnicza!....

— Werdenfels słynie przecie w całej okolicy! — stary sługa z dumą podniósł głowę. — Dziad jeszcze dzisiejszego pana mojego, ogrody te z wielkim kosztem pozakładał. a chociaż nieboszczyk pan baron, nie był już tak bardzo w ogrodnictwie zamiłowany, nie zaniedbywał jednak niczego, aby wszystko na dawnej stopie utrzymać. No i teraz utrzymujemy wszystko najstaranniej, cóż z tego! — dodał tonem skargi bolesnej. — Pierwszy to raz od lat wielu panie baronie, iż ktoś z rodziny raczył rzucić okiem na te piękności!

Paweł wzruszył ramionami.

— Stryj widocznie nie może znieść widoku wsi Werdenfels i woli mieszkać w odludnem Felseneck. Ależ to musi sumy kosztować?

— Krocie! krocie panie baronie! i tak nadaremnie! Nie wielu w kraju mogłoby sobie podobnych wydatków pozwolić. Pana barona stać atoli na coś podobnego. Oto dobra tylko do Werdenfels należące — powiódł ręką w około — a teraz bory olbrzymie w Felseneck... Majątek to iście królewski!

Wzrok młodzieńca objął ziemi obszar, liczący kilka mil kwadratowych. Był to istotnie pyszny majątek, a należał do dzikiego odludka, który zasklepiwszy się w murach Felseneck, żywcem pogrzebał się w pustkowiu! Paweł westchnął na tę myśl, i spytał, chcąc jej bieg zmienić:

— Co znaczą tamy murowane i darnią obrosłe, które park z tamtej strony okalają? Wyglądają zupełnie jakby wały forteczne.

— To ochrona od rzeki — tłumaczył zarządca. — Potrafi ona czasem rozbrykać się na piękne, i dawniej co wiosny i co jesieni, ogromne spustoszenia w parku sprawiała. Gdyby kiedy była atoli na prawdą z brzegów wystąpiła, mogło to nie tylko grozić parkowi, ale i wsiom do Werdenfels należącym. Woda rozhulawszy się byłaby zalała i zniszczyła plon cały. Dla tego nieboszczyk pan baron kazał tamy murować. Granitowe bryły, nie tylko brano na cement, ale gdzie niegdzie żelazem spajano. Tych wałów woda z pewnością do dnia sądnego nie przerwie i z niemi się nie upora!

— Wieś Werdenfels leży również nad rzeką, a z tamtej strony nie widzę jednak żadnych wałów ochronnych.

— Tam już ciągną się same chłopskie grunta, a gdzieżby chłopi ściągnęli się na takie koszta! — zarządca machnął ręką. — Gmina po ogniu ledwie potrafiła z biedą odbudować się jako tako i to po większej części za pieniądze pożyczone. Chłopi nigdy nie będąc bogatymi, zubożeli do reszty. Gdy nie mogą

poradzić inaczej, spuszczają się na pomoc i miłosierdzie boże — stary sługa uśmiechnął się z lekkim odcieniem ironji — no! i jakoś dotąd od lat wielu powodzi na szczęście nie było.... Może pan baron raczy jeszcze zobaczyć nasze cieplarnie?

— Dziękuję... innym razem — Paweł odrzucił z roztargnieniem.—Dziś mi na to czasu nie wystarczy, a chciałbym jeszcze zejść do wsi. Którą drogą można się dostać najprędzej?

Zarządca spojrzał zdziwiony, po co też baronowi wieś zwidzać? Objaśnił go jednak i na tym punkcie z wszelką gotowością, wskazując ścieżkę, wijącą się w ślimaka po stromym pagórku, która wprost do wsi prowadziła. Po tej stronie pagórek dziko wyglądał. Porosły był krzakami, a najgęściej, szczególnie u dołu, leszczyną. Paweł, aby zejść prędzej, puścił się na przełaj, przedzierając się przez gęste zarośla, dopóki nie stanął nad urwiskiem, idącem prostopadle, którego z góry nie mógł dostrzedz.

Namyślał się właśnie, jakby obejść zaporę nieprzewidzianą, gdy z dołu, z pomiędzy krzaków leszczyny, doleciała go pierwsza strofka piosenki, śpiewanej przez lud okoliczny, głosik zaś, który słowa wygłaszał, był tak świeży i dźwięczny, iż Paweł mimowoli słuch natężył, wstrzymując dalsze kroki. Pochylił się, aby odkryć osobę śpiewającą, i spojrzał w dół, ostrożnie gałęzie rozsuwając. Spostrzegł pomiędzy krzakami, znacznie już przerzedzonemi przez liść opadły, najprzód ramię wyciągnięte, i drobną rączkę, zajętą gorliwie obrywaniem orzechów, które dotąd mocno się gałęzi trzymały; wkrótce ukazały się dwa ciemne warkocze, z wiatrem igrające, nareszcie i cała główka kształtna, kapeluszem osłonięta, wyjrzała z pomiędzy leszczyny. Więcej nie dało się z góry dopatrzeć. — W Pawle obudziła się ciekawość niepohamowana, w zapale zapomniał o urwisku, na sam brzeg się posunął, nagle grunt oberwał mu się pod stopami, i w jednej chwili znalazł się na samym dole, pomiędzy krzakami zgniecionemi jego ciężarem, obsypany piaskiem, gliną i czarnemi ziemi grudkami.

Krzyk przerażenia towarzyszył jego podróży przymusowej. Młodziutka śpiewaczka w bok uskoczyła, wpatrując się okiem błędnem w spadającego. Z wielkiego strachu wypuściła nawet z rąk chusteczkę, rozsypując na około orzechy, mozolnie zebrane.

— Przez miłosierdzie Boże! — zawołała — co to takiego?...

— To wielbiciel śpiewu pani! — Paweł odrzucił, usiłując nadaremnie wyplątać się z pomiędzy gałęzi.— Oczarowany jej głosem, nie mogłem oprzeć się chęci... nieznośne krzaczyska!... Ah! przeklęte urwisko!....

Miał słuszne powody złorzeczyć krzakom i urwisku, z którego na nowo spadła ziemi spora bryła, obsypując go w okół. Widok był tak komicznym, iż młoda panienka, z przestrachu cokolwiek ochłonąwszy, śmiechem wesołym parsknęła.

Tego było za wiele dla miłości własnej Pawła, i tak już srodze uciśnionej! Waląc wściekle pięściami na prawo i lewo, zdołał wreszcie uwolnić się z objęć leszczyny, i stanął na nogi, ziemię z siebie cokolwiek chustką obtrzepawszy.

— Racz pani darować — przemówił tonem żartobliwym—iż entuzjazm melomana rzucił mnię pod stopy twoje w sposób równie gwałtowny, jak... oryginalny! Samaś pani zawiniła w tym wypadku! Zwabiony dźwiękami cudownemi, straciłem głowę i... równowagę!

Wzrokiem objął całą postać drobną, ale nader zgrabną i szykowną; rysy twarzy kogoś mu przypominały, nie miał atoli czasu zastanawiać się nad tem podobieństwem, spostrzegłszy minkę smutną i niemal łzy w oczach ciemnych młodziutkiej śpiewaczki. Patrzyła ona boleśnie na rozsypane orzechy, w niepewności, czy wolno jej będzie przywłaszczyć sobie cudzą własność....

— Nie po raz pierwszy spotyka mnię ta przyjemność... — Paweł schylił się czemprędzej, aby pomódz w zbieraniu orzechów — przed kilkoma dniami w Felseneck....

— Tak jest! — młoda dama główką skinęła. — Pan właśnie wychodziłeś na polowanie, gdyśmy zamek mijały.

I ona przyklękła, aby dalej zbierać orzechy.

— Jestem gościem w Felseneck — tłumaczył Paweł, czując, iż wypada mu wreszcie przedstawić się urzędowo, co też uczynił, prostując się, i z ukłonem, według ścisłej etykiety salonowej. — Pani pozwoli... Paweł Werdenfels.

— Lily Wilmut — odpowiedziała z ślicznym rumieńcem, i dygiem najpiękniejszym, którego uczył ją na pensji metr tańców, baletnik z teatru królewskiego.

Znowu zabrali się oboje do pracy z całą gorliwością i póty nie spoczęli, póki ostatni orzeszek nie znalazł się napowrót w chusteczce, chwilowo za torbeczkę służącej.

— Dzięki Bogu! Jużeśmy gotowi! — Lily lżej odetchnęła, jakby jej wielki ciężar spadł z serca. — Serdeczne dzięki panie baronie!

— Oh! nie ma za co! — Paweł grzecznie zaprotestował. — Z mojej przecież winy rozsypał się zbiór cały. I w dodatku, tak panią przestraszyłem!

— To prawda, że w pierwszej chwili ogarnęła mnię trwoga śmiertelna! — wyznało naiwnie młode dziewczę. — Myślałam, że to stryj pański zjeżdża z góry wśród grzmotów i błyskawic, aby mnie ukarać za naruszenie orzechów, należących do jego terrytorium. Ależ one rosną tu tak dziko, a ja lubię pasjami orzeszki!

— Jakież pani ma o moim stryju okropne wyobrażenie! — Paweł głową potrząsł. — Jestem najmocniej przekonany, że sam z największą przyjemnością, ofiarowałby jej orzechy z całego Werdenfels! Zresztą... nie rusza się wcale z Felseneck.

— Ach! ja sądzę, że on potrafi być wszędzie! — Lily zawołała żywo. — Powiedz mi pan... ale szczerze... nic że się panu dotąd nie przytrafiło w Felseneck?!

— A cóżby mi się mogło takiego przytrafić?! — Paweł wypatrzył się na nią zdziwiony.

Lily wstydem spłonęła, zdradziwszy się mimowolnie, iż wierzy w zabobony tak niedorzeczne! Młody baron nie wyglądał bynajmniej na baranka potulnego, któryby pozwolił ni ztąd ni zowąd, głowę sobie ukręcić jak makówkę, do czego — według mniemania ciemnego ludu — ordynat Werdenfels miał taki zapęd niepohamowany! Uspokojona poniekąd co do przyszłych losów młodzieńca, związała starannie orzechy w chusteczkę i oświadczyła z oczkami skromnie spuszczonemi: „Iż musi już wracać do wsi napowrót."

— I ja idę w tę stronę — rzekł Paweł. — Pragnę odwidzieć proboszcza tutejszego.

— Mojego kuzyna Jerzego?

— A! pani jesteś krewną proboszcza? Mieszkasz więc zapewne na probostwie?

— Wcale nie! Mieszkam w Rosenberg, tylko dziś przyjechałam do Werdenfels na godzin kilka z siostrą moją.

Paweł zatrzymał się nagle, a twarz rozpromieniła mu się radością nadzwyczajną.

— Z siostrą?... z panią Hertenstein?...

— Tak jest... Więc pan wiesz jak się moja siostra nazywa?

— Naturalnie! Miałem szczęście być jej towarzyszem podróży, gdy tej jesieni wracała z Wenecji. Czy siostra... pani o tem wcale nie wspominała?

— Ani jednem słówkiem! — zapewniła Lily, wielce zgorszona, iż Anna mogła przemilczeć znajomość tak miłą i dystyngowaną.

Paweł skrzywił się trochę, w nadziei zawiedziony. Nie raczyła zatem niewdzięczna, bodaj nazwisko jego wymienić. Teraz wiedział już, co go tak uderzyło w rysach młodej dzieweczki, przy pierwszem spotkaniu, na drodze do Felseneck prowadzącej. Było to podobieństwo familijne z starszą siostrą, tylko nazwisko Wilmut, o którem wspominał Freising, wywietrzało mu jakoś z pamięci. Lily jednak podniosła się o sto procent w jego oczach, skoro wiedział, iż jest tak blisko tej, która była obecnie jego ideałem i marzeniem najsłodszem.

Opowiedział szczegółowo spotkanie w Wenecji i na statku, wielbiąc traf nadzwyczajny, (przyczem zrobił minę niewiniątka, które trzech zliczyć nie umie) sprowadzający go tak niespodziewanie z panią Hertenstein. Lily nic nie wiedząc, iż kazał pędzić do Werdenfels na złamanie karku, uwierzyła święcie bajeczce na prędce skleconej. Dziwiąc się z nim pospołu nad owym przypadkiem, nie miała nic przeciw temu, iż do niej się przyłączył, aby wejść razem w progi probostwa.

Ksiądz z Anną byli właśnie w kancelarji proboszcza, tam więc Lily i Pawła wprowadziła, złożywszy wpierw orzechy w miejscu bezpiecznem. Innym razem byłaby najpewniejszą ostrej nagany i bury sążnistej, iż wdaje się z człowiekiem nieznajomym, a nawet drogę mu pokazuje do domu kuzyna. Skoro jednak Paweł był dawnym jej siostry towarzyszem podróży, to przecież i ją niejako upoważniało zawrzeć z nim stosunek przyjacielski, mogło służyć za wymówkę dostateczną. Śmiało za tem przedstawiła gościa, powtarzając w najlepszej wierze to, co przed chwilą usłyszała: „— Że baron Werdenfels, zwidzając zamek, pragnął również złożyć wizytę miejscowemu proboszczowi, spotkała go zaś u stóp góry zamkowej, wracając z przechadzki." — Cały epizod romantyczny i plondrowanie na cudzym gruncie orzechów, uznała za stosowne pokryć milczeniem arcydyplomatycznem.

Paweł bliżej postąpił. Nie zauważył on zrazu ani przyjęcia lodowatego ze strony księdza, gdy usłyszał Pawła nazwisko, ani przykrego zdziwienia pani Hertenstein, gdy zjawił się przed nią tak nagle. Widział tylko przed sobą postać czarowną, która nie przestała na chwilę snuć się przed oczyma duszy, do której tęsknił bezprzestannie. Źrenice jego takim blaskiem szczęścia zajaśniały, iż w umyśle małej Lily zrodziło się dziwne podejrzenie, dotyczące owej „przelotnej znajomości" z Anną na pokładzie parowca.

Proboszcz powstał wprawdzie z krzesła, nie rzekł jednak ani słowa powitania, nie wyciągnął dłoni do gościa, tylko z daleka skłonił mu sztywnie głową. — Cały trud przedstawienia się i zapoznania niejako z gospodarstwem domu, Pawłowi zostawił. Ten powtórzył słowa Lily, z tym dodatkiem: „Iż bliski krewny kolatora, barona Rajmunda, nie będzie przecież nieznajomym dla proboszcza w Werdenfels."

Ksiądz wysłuchał wszystkiego, a twarz jego o rysach posągowych, pozostała nieruchomą. Potrząsł głową, i odrzekł tonem suchym:

— Zapewne... panie baronie!

Na ustach wązkich, zawisło widocznie pytanie, co właściwie ma znaczyć ta wizyta?

Paweł znowu pominął milczeniem księdza przemówienie. Znajdywał wprawdzie, że gospodarz domu jest nader sztywnym i wielce niegrzecznym, nie wiele jednak się tem troszcząc, zwrócił się wyłącznie ku pani Hertenstein, wyraziwszy, ile czuje się szczęśliwym, iż „trafem szczególnym", tutaj ją spotyka. Ani przeczuwał, (ma się rozumieć!) czegoś podobnego, spodziewa się jednak, iż wolno mu będzie odnowić przelotną znajomość i w jej własnym domu złożyć wizytę. Raz puściwszy się na pełne morze grzeczności bez granic, płynął dalej a dalej z rozpiętemi żaglami, bynajmniej się nie pytając o nudnego i sztywnego proboszcza.

Jerzy Wilmut nie był atoli jednym z tych, którzyby pozwolił na takie zupełne pominięcie jego osoby, i do

*

tego w własnym domu. — Przez kilka minut mierzył ostro młodzieńca swym wzrokiem, na wskróś przenikającym, wmięszał się wreszcie do rozmowy, przerywając jej wątek szorstko i bezwzględnie, pytaniem rzuconem od niechcenia:

— Jesteś zapewne w Felseneck dopiero od dni kilku, panie baronie?...

— Od tygodnia — odrzekł Paweł z pewnem lekceważeniem, i zwrócił się nazad ku Annie. Teraz atoli Wilmut zbliżył się do nich, oparł łokcie na poręczy od krzesła, na którem Anna siedziała, i sam ująwszy ze zwykłą energją wątek rozmowy, pytał dalej:

— Nie musiałeś więc dotąd panie baronie, poinformować się dokładnie co do stosunków... w okolicy?

— Nie, bo jestem tu zupełnie obcym. Dla tego właśnie szukam znajomości, aby się powoli w tych stosunkach zorjentować.

— Całkiem słusznie!... A czy ordynat Werdenfels wie, iż miał mnie spotkać... zaszczyt pańskich odwidzin?

— Nie wie nawet wcale, iż jestem dzisiaj w Werdenfels — mruknął gniewnie młody człowiek, dotknięty do żywego tą formalną indagacją.

— Ja zaś od razu się tego domyśliłem! — Wilmut wtrącił tonem lodowatym.

Ta uwaga uderzyła wreszcie Pawła, spostrzegł zamiar ukryty w sztywnem i niegrzecznem księdza przyjęciu. I on zatem ostygł znacznie, a podnoszęc z dumą głowę:

— Wybrałem się jak widzę wielce nie w porę — rzekł nader zimno. — Myślałem, iż spełnię tylko prostą grzeczność, wizytując proboszcza w Werdenfels, do którego parafia i zamek nasz należy. Spostrzegam jednak... trochę za późno... iż wielki błąd popełniłem, wchodząc w progi domu, gdzie jestem gościem zupełnie... nie pożądanym!

— O! bardzo proszę! Osobiście, jesteś mi panie baronie gościem pożądanym... nie wiem tylko — dodał z naciskiem — jak zdołasz się z tych odwidzin w Felseneck usprawiedliwić?!

Paweł wypatrzył się na proboszcza, następnie wzrok pytający przeniósł na panią Hertenstein, jakby z jej strony oczekiwał objaśnienia, twarz Wilmuta atoli pozostała nieruchomą, usta ironicznie uśmiechnięte nie otworzyły się więcej. Anna również oczy spuściwszy, milczała zawzięcie, młodsza zaś siostra, która także dopiero od kilku tygodni bawiła w Rosenbergu, widocznie tak samo jak Paweł, o niczem nie wiedziała, gdyż w jej szeroko rozwartych źrenicach, czytało się li zdziwienie i ciekawość niesłychaną. Położenie stawało się z każdą chwilą drażliwsze i więcej naprężone, gdy na szczęście zameldowano, iż posłaniec pocztowy ma list ważny, który pragnie wręczyć księdzu osobiście.

Wilmut skłonił się lekko, przepraszając, iż musi oddalić się na chwilę, i wyszedł. Skoro za nim drzwi się zamknęły, Paweł zwrócił się gwałtownie do Anny.

— Racz mi pani wytłómaczyć, co się to wszystko znaczy?... — zawołał błagająco.

Rzuciła wzrokiem niespokojnym na drzwi od pokoju przyległego, i odrzekła prędko, głosem przytłumionym:

— Muszę zapytać na odwrót panie baronie, co znaczy zjawienie się pańskie w tym domu? Po co tu przybyłeś?...

— Przecież już się z tego najszczerzej wytłumaczyłem! Idąc tu, chciałem po prostu spełnić obowiązek grzeczności sąsiedzkiej. Widzę atoli, iż zajść musiało coś nadzwyczajnego, i dla tego moje odwidziny sprawiają takie zamięszanie, ale daję słowo honoru, iż nie miałem o czemś podobnem najlżejszego wyobrażenia. Przez miłosierdzie Boże! cóż to za przepaść rozdziela stryja mojego z miejscowym proboszczem?!

— Dowiesz się pan o tem w Felseneck. Mnie te stosunki nic a nic nie obchodzą....

— Pani się gniewasz? — szepnął tonem prośby najpokorniejszej.

— Ja? Nie! Dla czegoż miałabym się gniewać na pana?

— Bo nie chciałaś pani widzieć mnię więcej! Wiedziałaś dokąd dążę, a jednem słówkiem nie zdradziłaś, iż mieszkasz tak blisko, w Rosenberg! Traf szczęśliwy odkrył mi w tych dniach tajemnicę, której pani tak zawzięcie przedemną broniłaś!

— Nie myślałam taić się z czemś, o czem byłam przekonaną, że musi dojść prędzej czy później do pańskiej wiadomości...

— Wolno mi zatem odwidzieć panią w Rosenberg? Oh! powiedz pani czy na to pozwalasz?! — Paweł wpadł jej w słowo z namiętnym błyskiem w oku. Nie troszczył się on tem bynajmniej, iż Lily słucha, oczka na nich wytrzeszczając. Czyż chciał utrzymywać w tajemnicy uczucia swoje?! Młoda kobieta zdawała się tem jednak mocno zaniepokojoną i niemile dotkniętą, zanim atoli zdobyła się na odpowiedź, Wilmut wrócił do pokoju.

Paweł zerwał się natychmiast, czując, iż nie powinien ani chwili dłużej przeciągać wizyty niefortunnie zaimprowizowanej. Oddał niski ukłon paniom, skinął dumnie i sztywnie głową impertynenckiemu proboszczowi i wyszedł. Wilmut nie próbował go zatrzymywać, ani jednem słowem nie zachęcił do drugiej wizyty, odprowadził gościa ceremonialnie do ganku i pożegnał lodowato, tak samo jak go był przywitał. Młody człowiek odetchnął całą piersią, zupełnie jak to Lily zwykła była czynić, nie czując więcej na sobie wzroku surowego, który, niby zimne ostrze stali, zdawał się go na wskróś przeszywać.

W kancelarji proboszcza tymczasem, Lily puściła wodze swoim arcymądrym i głębokim spostrzeżeniom.

— Jak też baron dziwnie na ciebie patrzał! — szczebiotała — jak błagał gorąco, żeby mu wolno

było przyjechać do Rosenberg! To nie bez kozery Anulku! tylko się przyznać nie chcesz!

Biedna mała, nie miała szczęścia w tych dniach i zawsze się jakoś wyrywała nie w porę z uwagami. I teraz siostra ją ostro z góry nabrała: „że wściubia się wszędzie, gdzie jej niepotrzeba i rezonuje o sprawach, których rozumieć nie może i niepowinna.“ Lily mocno obrażona przypuszczeniem, żeby w latach szesnastu, nie miała rozumieć się na sprawach miłosnych, wyszła z pokoju nadąsana, aby na pociechę wziąć się do orzeszków ulubionych. Uciekła prędziutko, bo już za drzwiami naprzeciw, słychać było krok ciężki i miarowy proboszcza wracającego.

— Szczególna wizyta! — rzekł Wilmut od progu z gryzącą ironią. — Cóż ty o tem sądzisz? — zapytał.

— Że jest tak wszystko, jak baron utrzymywał — Anna odrzuciła. — Będąc w zamku, miał sobie za powinność i ciebie odwidzieć.

Jerzy wpatrzył się w nią badawczo i przenikliwie.

— Być może! — bąknął szorstko — lękam się jednak, iż ta grzeczność najmniej tyczyła się mojej osoby. To twoje oczy urocze Anno, już znowu coś złego nabroiły! Młodzik zwabiony niemi, leci jak ćma w płomienie. Poznałem się na tem od pierwszej zaraz chwili. Zdaje mi się jednak, iż nie potrzebuję przestrzegać cię, żebyś barona jak najdalej od siebie trzymała... Nosi nazwisko Werdenfelsów!... powód dostateczny, aby noga jego progu domu w Rosenberg nie przestąpiła!

VII.

Z uczuciem bardzo przykrem i niepokojącem, wracał Paweł do Felseneck. Nie mógł się łudzić, iż zobaczenie pani Hertenstein, do czego serce rwało mu się tak niecierpliwie i z taką tęsknotą, wypadło nader fatalnie, i że strzelił bąka potężnego, pospieszywszy się najniepotrzebniej z wizytą do proboszcza w Werdenfels. Jakkolwiek o niczem nie wiedział, musiał jednak zrozumieć, iż zaszło coś bardzo ważnego między ordynatem a jego proboszczem, i że stosunki ich wzajemne, stanęły — jak to mówią — na ostrzu miecza. Zdawało mu się również, iż odgaduje przyczynę, dla której pani Hertenstein spotkała się z nim na statku tak zimno i niemal odtrącając od siebie wszelką z nim bliższą znajomość. Ten wstręt nie tyczył się go osobiście, był przywiązany li do jego nazwiska. Kiedyż jednak młodość nierozważna da się wstrzymać w miłośnym zapale, tak kruchą na pozór przeszkodą?! Nie tracił przeto fantazji, nie wyrzekał się błogiej nadziei. Wprawdzie nie otrzymał wyraźnego pozwolenia do bywania w Rosenberg, ale mu tego również nie zabroniono, pojedzie zatem do niej, w niczem planów na przyszłość nie zmieniając.

Już pod ganku kolumnadą, przywitał go stary Arnold doniesieniem, iż „stryjcio szanowny“ życzy sobie dziś widzieć bratanka. Paweł nie cieszył się wcale temi audjencjami, jakkolwiek udzielano mu je rzadko i na bardzo krótką chwilę. Jego naturę otwartą, serce młode i wszystko gorąco odczuwające, mroziła coraz dotkliwiej lodowata obojętność barona Rajmunda. Życzenie jednak stryja było dla niego rozkazem, któremu musiał zadość uczynić. Spytał więc tylko nawiasem, kiedy ma się stawić.

— O godzinie piątej! — Arnold rzekł tonem uroczystym. — Tym razem będę i ja paniczowi towarzyszył.

Paweł spojrzał na niego zdziwiony.

— Co ci się znowu przyśniło?! — wzruszył litościwie ramionami. — Wiesz przecie, iż nikomu nie wolno wejść do mego stryja, kogo on sam nie zawoła.

— Mnie bo właśnie raczył pan baron zawołać! — oświadczył starzec z dumą i najwyższem zadowoleniem. — Wydał rozkaz specjalny, abym i ja się dzisiaj stawił.

— To istotnie rzecz szczególna! — Paweł potrząsł głową. — Wspomniałem mu wprawdzie zaraz za pierwszem widzeniem, iż pałasz gorącą chęcią ujrzenia jego oblicza i rozpaczasz, żeś dotąd tego szczęścia nie dostąpił! nie spodziewałem się jednak, aby to się na co przydało, pominął bowiem tę kwestję milczeniem, a ja, ma się rozumieć, nie miałem odwagi na to po raz drugi nastawać.

— Panicz bo na nic nie możesz się odważyć! — machnął Arnold ręką lekceważąco. — Nie umiesz sobie ze stryjciem poradzić, a szkoda wielka! Z paniczem jedynym czasem się widuje i mógł byś mu przecie to i owo wyperswadować. Czy to nie grzech o pomstę do nieba wołający, żeby żyć po nocy jak puhacz nieprzymierzając, uciekać przed ludźmi, ba! kryć się nawet przed bożem słoneczkiem, przed światłem dziennem?! I to kto jeszcze, taki pan całą gębą! który nie wie nawet i nie pamięta ile dóbr posiada, a pieniędzy ma jak lodu! Stryjciowi trzeba koniecznie kogoś, żeby z całem należnem uszanowaniem, wyciął mu porządną kapitułę i wystawił, że tak dalej być nie powinno! Skoro zaś panicz na to nie możesz się odważyć...

— Chcesz może ty szczęścia spróbować? — wpadł mu w słowo Paweł, śmiechem wybuchając. — Strzeż się Arnoldzie, mogła by ta sprawa źle się skończyć, gdybyś tak u ordynata na zły humor trafił!

— Ejże! głowy by mi przecie nie urwał! — mruknął stary, trochę jednak zaniepokojony i wahający. — A może doprawdy u niego tutaj — wskazał na czoło — taki nieporządek, iż szkoda marnować perswazji rozsądnej?

Paweł znowu roześmiał się wesoło.

— Nie, tak daleko rzeczy nie zaszły! Ze stryjem można mówić najrozsądniej i sam co powie to wszystko

rozumnie, tylko wątpię, żeby ci pozwolił dokończyć kazania. Nie każdy jest tak cierpliwym barankiem, jak ja nieprzymierzając!

Arnold zdawał się mieć zdanie zupełnie odmienne o tej cierpliwości baranka u swojego pana, bo strasznie jakoś głową potrząsał. Nic jednak tym razem nieodpowiedział, układając naprzód z czem wystąpi przed ordynatem i jak mu ślicznie wszystko przedłoży. Że się do tego dotąd nikt nie ośmielił, było dla niego równie niewytłumaczonem, jak strach głęboki i posłuszeństwo ślepe, którem cała służba zdawała się oddychać w Felseneck, gotowa na każde skinienie ordynata. Arnold wprawdzie dużo rozprawiał o uszanowaniu i słuchaniu rozkazów państwa, sam atoli bynajmniej cnót owych nie lubił praktykować. Z duszą i ciałem był swoim państwu oddany, o ich dobro dbał lepiej niż o swoje własne, to mu atoli nie przeszkadzało tyranizować ich w najlepsze!

Ojciec Pawła, natura żołnierska, trochę szorstka pozornie, trochę lekkomyślna, ale w gruncie miękka jak wosk, i najpoczciwszy człowiek w świecie, pozwalał Arnoldowi bardzo wiele, nagradzając jego wierność i przywiązanie! Baronowa nieboszczka, była już zupełnie przez niego zawojowaną, no, a przy Pawle jak wiemy, grał raczej rolę mentora surowego, niż pokornego i posłusznego sługi.

Ciężko mu też było znieść podobne ignorowanie jego ważnej osobistości, przez „głowę“ domu Werdenfelsów. Wybiła wreszcie godzina, od tak dawna wyglądana i oczekiwana, i Paweł udał się tym razem do stryja w towarzystwie starego Arnolda.

Gdy Paweł wszedł do pierwszej komnaty, zostawiwszy Arnolda tymczasem w przedpokoju, ordynat siedział przed biurkiem, robiąc notatki z dzieła przed nim rozwartego. Powitał bratanka jak zwykle, zimno i apatycznie.

— Pracowałeś jak widzę — Paweł rzucił okiem na tytuł dzieła. — Zajmujesz się więc dalej przyrodnictwem?!

— Uczę się, jak ludzi czarować i rzucać na nich uroki niebezpieczne! — Rajmund przechylił się przez poręcz krzesła. — Tego nikt ludowi wiejskiemu w dolinie nie wyperswaduje! Uśmiechasz się Pawle niedowierzająco! Mówię ci całkiem serjo, iż mają mnię za czarownika w zmowie z szatanem, a nawet moje najbliższe otoczenie, moja służba cała, wierzy święcie w te baśnie, i jest najmocniej przekonaną, iż wszystkie moje eksperymenta naukowe, są po prostu sztuczkami djabelskiemi.

— Czyżby doprawdy lud był w tych stronach tak ciemnym i zabobonnym? — Paweł spojrzał na niego zdziwiony. — Na cóż w takim razie oświaty? na co szkół i szkółek? na co prawa zmuszającego dzieci wiejskie do nauki?!

— Może to wszystko przyda się przyszłemu pokoleniu.... dziś.... u nas przynajmniej, ksiądz miejscowy jest dotąd panem wszechpotężnym; wiara zaś w szatana jest środkiem tak niezawodnym, aby lud trzymać dalej w karności i ślepem posłuszeństwie, iż żaden z nich tych zabobonów nie podkopie, żaden nie pokusi się dla prostaczków o ziarno zdrowe nauki prawdziwej, zastosowanej do ich umysłów, mało dotąd rozwiniętych. Zresztą — Rajmund odtrącił z niechęcią książkę i notatki — i ja już teraz nie znajduję w tych studjach wielkiego interesu, chociaż dawniej oddawałem im się tak namiętnie. Pytam się w końcu: na co to wszystko, skoro z tego nikt nie skorzysta, na nic się nikomu nie przyda praca moja? W ogóle... po co to życie?!..

W pytaniu rozpaczliwem brzmiało nie tyle goryczy, ile śmiertelnego znużenia, Pawła atoli usposobienie w tej chwili, nie skłaniało się zupełnie do zapatrywań na życie tak pesymistycznych. Jemu w głowie i w sercu roiły się tłumnie sny złote błogiej przyszłości, zbył więc milczeniem słowa stryja i wtrącił od niechcenia swoje własne zdanie:

— Nie miałem niestety od dzieciństwa skłonności specjalnej do studjów tak poważnych! Ja i książki, byliśmy z sobą zawsze trochę na bakier!

— I teraz jak widzę, to chwalebne usposobienie bynajmniej się nie zmieniło. O bibliotekę moją dotąd aniś zaczepił. Oh! nie bierz tego za rodzaj wymówki— ręką wstrzymał Pawła, który chciał się tłumaczyć. — W twoim wieku, przyjemniejszemi są inne zajęcia; zresztą, tobie wyłącznie zostawiłem troskę, abyś sobie pobyt w samotnem Felseneck, uczynił o ile możności znośnym. Jak słyszę, dużo polujesz i jeździsz konno, to ci w każdym razie zdrowo będzie.

— Jest-to poniekąd rozrywką.... ale nie stałem zajęciem.

— Czy czujesz brak takowego? — spytał ordynat z lekką ironją.

— Tak, szczerze to wyznaję! Myślę, iż czas dla mnie najwyższy, wziąć się do jakiegoś zawodu, zacząć na serjo pracować.

— I ja tak sądzę, nie spodziewałem się jednak, iż ty pierwszy, będziesz nastawał na coś podobnego.

— A widzisz żeś się pomylił Rajmundzie! — Paweł żywo zawołał. Stosując się do życzeń ordynata, nazywał go zawsze po imieniu. — Chciałem się właśnie spytać, coś o mojej przyszłości postanowił?

(Ciąg dalszy nastąpi)

POŻYCZANA MAMA.

NOWELLA.

„Niewdzięczność to jedyna tu na ziemi za wszystko nagroda!“ — wykrzyknął już nie jeden, do głębi zraniony; powtarzają ludzie i powtarzać będą, czemu zresztą bardzo dziwić się nie można. Gdzie wszystko tak znikome, gdy życie ludzkie, na tak kruchych spoczywa podstawach, miałażby pamięć odebranych dobrodziejstw trwać wiecznie?!

Nasze stulecie Bogiem a prawdą, niewdzięcznością bynajmniej nie grzeszy. Szczególnie w naszej ojczyźnie, bezbożnie poćwiertowanej, jubileusze sypią się jak z rękawa, bankiety następują po bankietach, pochodnie wędrują tysiącami od domu do domu, od hotelu do hotelu, wielkości zaś ni z tego ni z owego, niby grzyby po deszczu, strzelają częstokroć pod same niebiosa, aby po latach, a nawet kilku miesiącach, zmaleć nagle, jak ześrubowana, lub końcem przeciwnym obrócona perspektywa. Tę zmianę frontu przypisać należy z jednej strony chorobliwej egzaltacji, z drugiej lekkomyślności wrodzonej, tak w czynach jak i w sądach naszych.

Znajduje się atoli pewne *species* pomiędzy ludzkiemi istotami, które walczy wytrwale czasem aż do grobowej deski, którego hasłem jest również owo sławne powiedzenie Cambronne'a, tyczące się starej gwardji napoleońskiej: Umiera, lecz nigdy się nie poddaje!“ — *species* niesłychanie rozgałęzione, z licznemi odmianami, staczające walne bitwy, głównie na śliskich parkietach salonowych, a dotąd przez ogół nie ocenione należycie, nie odznaczone żadnym medalem, żadnym krzyżykiem zasługi, (chyba ciężkiemi krzyżami domowemi) nie opisane i nierozgatunkowane.

My tedy pokusimy się lukę wypełnić i zaczniemy naszą skromniutkę nowelkę, od złożenia hołdu należnego uznania i współczucia, u stóp matek, ciotek, stryjenek i wujenek, obciążonych w liczbie pojedyńczej, co gorsza mnogiej, pannami na wydaniu! Następnie wymienimy niektóre główne odmiany tego *species* wielce ciekawego.

W pierwszej linji widzimy: matkę ofiarę. Na tydzień przed każdym wieczorem, zaczyna kłopotać się i narzekać, na salę balową wchodzi z miną baranka na rzeź prowadzonego i skazanego na całopalenie, wszędzie jej źle i niewygodnie, snuje się za córką, czy też za kimś obcym, oddanym pod jej skrzydła opiekuńcze, jak duch Banka złowrogi, powtarzając słowa sakramentalne:

— Jeszcześ aniołku nie zmęczona? Zmiłuj się! tak już późno! Rąk i nóg nie czuję doprawdy! — aż wreszcie panienka znudzona i zniecierpliwiona, zabiera się do domu przed kotyljonem, z książeczką pełną tańców zapisanych a nieuiszczonych i zamiast marzeń rozkosznych, przywozi z sobą rozstrój nerwowy, a często gęsto i płacz rzewny do poduszki! Takim istotom egoistycznym i zapominającym, jak to one lubiły się bawić za młodu, medalu zasługi nie przyznamy, nawet wzmianki pochwalnej nie warte! One (jak mówi pismo święte) „Tu już za trud swój nagrodę odebrały!“

Druga odmiana, to mamy najpoczciwsze, ciche i bierne istoty. Wcisną się zazwyczaj w jakiś kącik spokojny, szukając tamże dusz sobie pokrewnych. W nagrodę za wszelkie trudy, z świętą rezygnacją i bez słowa skargi ponoszonych, bożek Morfeusz zeszle im czasem słodką drzemkę, po dłuższej, poufałej pogadance, z dobrą przyjaciółką. Skoro atoli, na skrzydełkach gazy lub tarlatanu, zleci barwny motylek z troskliwem zapytaniem:

— Mateczko droga! może to już bardzo późno? Może czujesz się nadto zmęczoną? W takim razie... — dziewczątko waha się i głos jej drżeć zaczyna — powiem panu X. niech sobie innej danserki szuka do kotyljona... Nie trudno mu będzie! Taki miły człowiek i tancerz zawołany! — dodaje się w formie zręcznego komentarza.

Matusia ma się rozumieć, przerywa natychmiast miłą pogadankę, lub ze snu oczy przeciera z zapewnieniem uroczystem: „Iż bawi się przewybornie! nie czuje się zmęczoną“ — a kończy solennym nakazem:

— Baw się tylko moje dziecię; zresztą skoroś raz przyrzekła kotyljona, byłoby nawet niegrzecznie z balu wcześniej odchodzić.

Takim istotom nieoszacowanym warto za życia stawiać pomniki.

Trzecią z rzędu, jest matka przedsiębiorcza i pełna energji. Tu zwykle role bywają zamieniane. Córka rozkapryszona i skrzywiona, jakby zażyła *rumbarbarum*, nie chce zrazu słyszeć nawet o żadnej zabawie!

— Mama wie przecież doskonale — mówi usta wzgardliwie odymając — iż mnie bal od dawna ani cieszy, ani rozrywa! Po co? na co? Tyle trudu, wydatków, nie lepiej to w domu siedzieć?

Matka wzrusza niecierpliwie ramionami, mruczy pod nosem: „o nieznośnych grymasach panien tegoczesnych!“ — wreszcie zapowiada kategorycznie:

— Musisz pójść i koniec! Czyż nie wiesz, że przybył nowy fizyk nieżonaty, do naszego miasteczka?! A sędzia Z.... Tak ci na ostatnim pikniku asystował! Zostaw tylko wolne pole tej intrygantce Wiercińskiej, z jej lubą i nieodrodną córunią, którą od lat dziesięciu na bale prowadzi! Zobaczysz czy ci partji doskonałej nie zdmuchną z przed nosa!

I mama niezwalczona zaczyna uganiać po magazynach, dobiera wstążek i kwiatów, układa z modniarką strój balowy, najodpowiedniejszy dla córki, która tymczasem ziewa, wzdycha, palcem nie tknąwszy się niczego.

Na balu dopiero zły humor opuszcza zwolna grymaśnicę, gdy dzięki staraniom macierzyńskim, widzi się w pięknej, świeżutkiej toalecie, gdy ją otacza rój tancerzy i wielbicieli, gdy wreszcie porwana i uniesiona wirem walcowym, zaczyna uśmiechać się roskosznie, i raczy przyznać *par extraordinaire*: „iż mama tym razem słusznie postąpiła.“

Matka i teraz rąk bezczynnie nie zagina. Czuwa zdaleka nad „rozpieszczonem dzieckiem,“ nadskakuje ciotce, która ma siostrzeńca bogatego, prawi komplimenta matce nowego fizyka, opowiada na ucho nieżonatemu dotąd profesorowi, jak wielkie wrażenie wywarł na jej Geńcię wykład jego ostatni z metafizyki, krótko mówiąc: mimo oburzenia, z jakiem wyrażała się o pani Wiercińskiej i jej córce Adeli, przechodzi z całym wojennym rynsztunkiem pod sztandary serji czwartej, najliczniejszej, armji niczem nie pokonanej, matek intrygantek.

Pióro wypada nam z dłoni bezsilnej. Bo i jakież słowa w ludzkiej mowie, byłyby zdolne określić ową siatkę misterną, przy której niczem najcieńsza przędza pająka! W tym atoli wypadku, muszką biedną, brzęczącą w więzach żałośliwie, jest brzydsza połowa rodu ludzkiego, owi tyrani, owi panowie wszego stworzenia, pająkiem zaś, który osnuwa ich powoli, póki nie złapie, są owe słabe istoty, niewinne gołębice, sprawdzające wiecznie i zawsze mądrą przypowieść księcia biskupa warmińskiego:

„My rządzimy światem, a nami... kobiety!“

Teraz zaś przystępujemy do historji szczegółowej jednej z pomiędzy wielu matek i swatek niezmordowanych, łączącej w sobie cechy i przymioty wszystkich razem wziętych kategorji, prócz pierwszej: matki ofiary.

Krótka nowelka będzie hołdem oddanym jej zasługom, będzie niejako pomnikiem, ku jej czci wzniesionym.

* * *

Hrabina Laura, jak już wyżej wspomnieliśmy, posiadała cenne przymioty na mamę swatkę, *par excellence*. Nie żeby los ją obdarzył licznem potomstwem płci pięknej... przeciwnie, była tylko matką syna jedynaka, miała atoli wszystko, czego wymaga owe stanowisko dość trudne i śliskie, chociaż wielce zaszczytne.

Ojciec Laury, książe C. sławny gracz i hulaka, nie zostawił nic prawie sierotom, prócz urody nadzwyczajnej i znakomitych paranteli, z najpierwszemi w Polsce domami. Ciotka ich, księżna L. wzięła po śmierci brata obie bratanice pod swoją opiekę, starszą Laurę wyswatała za hrabiego R., magnata czeskiego, poznawszy go w Karlsbadzie, młodszą za bliskiego kuzyna, księcia L.

O serce i skłonności lub wstręty, nie pytała się młodziutkich księżniczek. Jej niegdyś dobrano męża nie według gustu, lecz według rodu i stanowiska, ona też tak samo wywiązała się z powinności opiekunki w obec małoletnich.

Mąż Laury, ordynat i pan miljonowy, wprowadził ją w najwyższe sfery towarzyskie, otoczył przepychem iście królewskim, a gdy po latach kilku, przeziębiwszy się na polowaniu, pożegnał ten padoł płaczu, zostawił przynajmniej żonie tyle, iż miała — jak to mówią — czem łzy otrzeć. Syn jedynak Wacław, był przez matkę na Polaka najlepszego wychowany. Po śmierci męża kupiła sobie piękny majątek pod Krakowem, i tam zamieszkała, póki syn nie zaczął uczęszczać na uniwersytet.

Odtąd przez dziesięć szkolnych miesięcy bawiła w mieście, na wakacje tylko na wieś wyjeżdżając.

W Krakowie miała również własny pałacyk, urządzony prześlicznie, z dużym ogrodem. Z natury żywa, wesoła, gościnna, lubiła namiętnie światowe rozrywki, dobroć zaś wrodzona nie pozwalała nigdy niczego odmówić proszącym. Usta jej dotąd pięknie zarysowane i rumiane jak u młodej panienki, nie umiały wygłosić słówka *nie*. Ma się rozumieć, iż dobroci tej nadużywano. Przed każdym karnawałem zgłaszały się do niej bądź krewne, bądź serdeczne przyjaciółki z czasów panieńskich, z prośbą usilną, żeby Lorcia najlepsza, najukochańsza! wzięła ich córkę pod swoją opiekę, bodaj na „parę“ tygodni. Tygodnie przemieniały się w miesiące, nawet w lata całe, a rodzice rościli częstokroć pretensję do hrabiny, żeby po prostu postarała się dla ich córek, o partję odpowiednią. Tym sposobem zdarzało się nieraz, iż Lorcia najpoczciwsza, pokazywała się na krakowskich salonach, obciążona całym rojem motylków, strojnych w tiule, gazy, tarlatany, kwiaty i wstążki, a gdy z kanapy wodziła okiem niespokojnem po sali balowej, śledząc cztery lub pięć pupilek, ulatujących w wirze walcowym, miała minę stroskaną kwoczki, której podrzucono zdradliwie płód obcy. Gdy wywiedzie wreszcie kaczęta, i te puszczają się śmiało na bystrą wodę, kura biega i zawodzi nad brzegiem, lecz daremnie błaga i nawołuje, żywioł jej obcy unosi dalej i dalej cudze dzieci, jej pieczy powierzone. Odkąd atoli doszło do wiadomości hrabiny, iż złośliwa młodzież męska, bądź nazywa ją i jej protegowane „pensjonatem,“ bądź „wyprzedażą hrabiny Laury poniżej ceny szacunkowej“ zgorszona i obrażona uroczyście zaprzysięgła, iż więcej niż jednej na raz panience matkować nie myśli!

Zorjentowawszy się cokolwiek w stosunkach i usposobieniu hrabiny, przypatrzymy się zbliska jej działaniu zaczepno-odpornemu, podczas świetnego lecz czasem pełnego bolesnych zawodów sezonu karnawałowego...

I.

BOHATER CHWILI.

— Cóż się to stało mateczko? — zawołał Wacław zaniepokojony, wchodząc ranka pewnego do pięknego matki buduaru. Hrabina Laura, przeciw swojemu zwyczajowi, siedziała z rękami kurczowo na kolanach splecionemi, pogrążona w zadumie bolesnej, a czoło zwykle tak gładkie i jasne, dwa grube zmarszczki przerzynały.

— Co się stało? — powtórzyła niecierpliwie — bardzo wiele, a samych niepomyślności! Moja pokojowa wybiera się raptem za mąż! Jestem zdana na łaskę głupiuteńkiego koczkodana, który przed chwilą chciał garnirować moją suknię zieloną, ryszką z wstążki ponsowej! *Excusez du peu*! Aron najpiękniejszy, ozdoba całej oranżerji, dwa listki stracił i schnąć zaczyna! a biedna moja Muszka śmietanki pić rano nie chciała, i posłuchaj tylko, jak ciężko oddecha!

Wzrok czuły hrabiny skierował się ku poduszce aksamitnej, na której odzywało się chrapanie wyżliczki, malutkiej jak szczur, a spasionej nie przymierzając jak prosiątko na wielkanoc.

— Psiupsia najukochańsza! — wybuchnął śmiechem Wacław. — Nie dziw, że tyle sadełka psuje apetyt, i oddechać swobodnie nie dozwala! Czy szereg nieszczęść wyczerpany, mateczko?

— Śmiej się, śmiej, ty niegodziwcze! Co wy mężczyzniska rozumiecie się na naszych kłopotach?! Najgorsze z tego wszystkiego, że oto właśnie siostra mi w liście donosi, jako w żaden sposób na karnawał zjechać nie może, najwyższy zaś czas Terenię w świat wprowadzić. Znowu więc na mnie spada ten obowiązek, a wiesz, jak nie cierpię szaperonowania, jak się cieszyłam, iż tej zimy przecież odetchnę i odpocznę, od tej ciągłej pańszczyzny! Czyż mogłam jednak siostrze rodzonej, jedynej, „nie“ odpowiedzieć? (jak gdyby duszyczka najpoczciwsza, kiedykolwiek to potrafiła!) Biorę wielki ciężar na ramiona! Terenia jest skończoną pięknością, hołdów jej nie braknie, do jej ręki atoli lada kto się nie pokusi. Chociaż posag stosunkowo nie wielki, ciotka twoja widocznie liczy na to, iż z takiem nazwiskiem i urodą, córka powinna zrobić partję co się zowie! Nibyto w czasach dzisiejszych, świetną partję można wytrząść z rękawa! Ciężką mam zgryzotę doprawdy!

— Biedna mateczko! — syn pieszczotliwie objął jej kibić ramieniem i w czoło pocałował, aby zmarszczki brzydkie spędzić z niego. — Jesteś istotnie godną pożałowania! Musisz wiecznie ujeżdżać młode źrebaki, a do tego potrzeba dłoni silnej i energicznej...

— Której ja bynajmniej nie posiadam! — westchnęła hrabina. — No, co do Tereni, ta mnie pod tym względem kłopotu nie przysporzy. Wychowanie odebrała najstaranniejsze, wie co winna swojemu nazwisku i stanowisku!

— Niezawodnie! Pamiętam ją jeszcze małym dzieciakiem, kiedy siebie „Nia“ po prostu nazywała. Już wtedy zanosiło się u niej na wielką piękność, ale bez owej woni cudownej, której brak świetnej kamelji, bez owego czaru przyciągającego, którym czułość i dobroć potrafi tylko natchnąć kobietę. Była to śliczna laleczka, w najwyższym stopniu próżna i samolubna. Kiedyż owa gwiazda błyśnie na naszym horyzoncie? Muszę przecież ostrzedz o tem moich kolegów i przyjaciół, aby zdaleka dom nasz omijali. Ej! matuniu! matuniu! z ciebie doprawdy osoba bardzo niebezpieczna! Tulisz zawsze pod opiekuńczemi skrzydłami, dziewczęta z całego Krakowa najładniejsze, a tak umiesz łapać na wędkę, tak zręcznie nastawiasz sidełka, że zanim który się spostrzeże, już klamka zapadła! Ot nie dawniej jak wczoraj, mówił mi ten hultaj Jan Mielęcki: — „Gdybym kiedy miał ochotę skosztować kwaśnego jabłka, *vulgo* roskoszy małżeńskich, to chybaby mnię skusiła wyprzedaż pod firmą hrabiny Laury.“

— Wstydziłbyś się Waciu, powtarzać taką niegodziwość! Ale dla czego to ty się do mnie kiedy nie zgłosisz w tym interesie? Wiesz jak gorąco pragnę synowej!

— Na miły Bóg mateczko! — syn roześmiał się wesoło — łapaj którego chcesz, tylko mnię zostaw na boku i oddaj innym swatkom na pastwę. Pamiętaj, że lekarze nigdy dzieciom własnym nie aplikują recept i przepisów, z których pomocą obcych zwykli uwalniać od życia ciężaru, wysyłając w świat lepszy, jeżeli to prawda, że tam lepiej nam będzie! Ot, przybył nam z Wołynia książe Artur S. na karnawał tegoroczny. To zwierzyna godna takiego jak ty strzelca. Jak raz partja dla Tereni! Panie nasze wydzierają go sobie! Nic ich nie odstrasza, ani brutalność bałaguły, ani nonszalancja i sztywność angielska, ani lwia grzywa na głowie, i takaż broda płowa, olbrzymia, i wiecznie *á tous les vents* rozwiana!

— Ejże! Czy tylko nie zazdrość z ciebie synku przemawia?! — hrabina mu filuternie pogroziła. — Ale słusznie mówisz! Książe Artur partja co się zowie! Bogaty, wielkie nazwisko, koligacje znakomite, a że trochę ekscentryczny, to właśnie u nas w modzie. Jest on, można powiedzieć, bohaterem naszych salonów, ulubieńcem dam, które kierują opinją, i ton nadają całemu towarzystwu. Dla córki mojej siostry jedynej, muszę postarać się o coś najlepszego!

To coś nie mogło przedstawić się inaczej damie z wielkiego świata, tylko w blasku łudzącym bogactwa, ozdobione mitrą, lub co najmniej koroną o dziewięciu perłach. Propozycja syna podziałała na hrabinę Laurę niby iskra elektryczna, ożywiła się, zapomniała o wszystkich kłopotach, i pogłaskawszy Muszkę, po drzemce rannej jakąś zdrowszą i rzeźwiejszą, poprosiła syna, żeby jej kazał natychmiast zaprządz do karety, aby mogła rozglądnąć się po magazynach, i odbyć walną naradę z modystką, co do przyszłych toalet dla siostrzenicy.

— Z tą pójdzie mi jak po maśle! — mówiła sobie w duchu hrabina, jadąc na pierwszy bal, wesoła i rozpromieniona z piękną pupilką — Adoratorowie posypią się jak z rękawa! Będzie miała w czem wybrać Terenia!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

L'OMBRA.

NOWELLA.

(*Ciąg dalszy*).

Skoro znalazła się sama, gorżkim płaczem wybuchnęła.

„Łatwiej zgubić serce, niż nazwisko zaofiarować!" — Te słowa okrutne brzmiały w jej sercu, niby odgłos ponury dzwonu pogrzebowego... wszak do niej samej się stosowały!... A jednak pisał do tej, którą teraz wspomina tak lekceważąco... Przecież nie komu innemu, tylko *L'Ombrze*, spiewaczce, oddawał na piśmie serce wraz z ręką, wraz z nazwiskiem księcia Whitefield?... A przed chwilą ten wzrok namiętny, płomienisty? To czułe rąk uściśnienie?... Czyż nie tyczyły się raczej spiewaczki nieobecnej! Czyż nie były wywołane *L'Ombry* wspomnieniem!... Trzebaż koniecznie przyznać się do winy, aby podbić to dumne serce? A jeżeli wyzna, że *L'Ombra* to lady Stève, czyż jej tak wielką winę przebaczy?!...

— Gdybym przecie zdołała zatrzeć obraz *l'Ombry* w jego sercu i pamięci! — szeptała sama do siebie z rękami rozpaczliwie we włosy wlepionemi. — Nie, nie! daremna praca! On nigdy lady Stève nie pokocha!... Nigdy nie ujrzę w jego źrenicy owych błysków namiętnych, któremi tak hojnie *l'Ombrę* obrzucał!... Co za męczarnie piekielne, ta zazdrość szalona o moje drugie Ja fatalne!... Ale skoro to przechodzi siły moje, zrzucę maskę, choćby wieńce *l'Ombry* miały skalać dumne czoło lady Stève, nie wytrzymam dłużej! Zaspiewam Willjamowi!...

Łzy ulżyły ciężaru tej duszy strapionej, a postanowienie nieodwołalne wywarło wpływ błogi na jej nerwowe rozdrażnienie. Zawsze znaczy wiele trzymać w dłoni broń, którą można w każdej chwili rozciąć węzeł gordyjski. Była to wprawdzie broń obosieczna, mogła zabić pamięć *l'Ombry*, nadwerężając jednocześnie cześć lady Stève. Ha! trudna rada! Gdy nadejdzie chwila stanowcza, Erminja pewno się nie zawaha!

Zeszła na dół po kilku godzinach. Willjam czekał już na nią w przedsionku.

— Zaniepokoiłaś mię okropnie kuzynko! — przemówił czule. — Powietrze świeże bywa częstokroć najlepszym lekarzem. Zechcesz może przyjąć moje ramię. Udamy się na daleką przechadzkę, aby tej bladej twarzyczce powrócić, tak ją ślicznie zdobiący, zdrowia rumieniec.

Wychodzili, gdy na nich zawołano, namawiając na wycieczkę do lasu na pierwsze poziomki. Całe towarzystwo parami wyruszyło. Hrabia de Bocé nie upomniał się o swój przywilej towarzyszenia Erminji, zobaczywszy, iż Willjam ramię jej podał. Szli wśród śmiechów i gwaru wesołego.

Pogoda była przecudowna, lazur nieba bez jednej chmurki, natura przywdziała strój godowy do ślubu z majem, słońce rzucało pod nogi idącym złote promienie, przeciskające się przez gęste dębów i klonów stuletnich konary, znacząc blaskiem mech różnobarwny. Ciszę uroczystą i spokój w naturze, mącił tylko szelest kroków i głosy zmięszane licznego towarzystwa.

Po niemiłych wstrząśnieniach, których Erminja doświadczyła, ta cisza i leśne powietrze orzeźwiające, błogo na jej nerwy podziałały. Na końcu lasu majaczyła nie wielka polanka, przerżnięta modrym ruczajem, od którego promienie słoneczne jaskrawo odbijały. Ten blask zdawał jej się szczęścia równie jasnego przepowiednią. Powoli jakaś roskosz tajemnicza duszę jej ogarnęła, troski, zwątpienia, niepewności, rozpraszały się niby mgła w powietrzu, wreszcie sama siebie w duchu zapytała: Czego się lęka, dlaczego cierpi, skoro opiera się o ramię Willjama, skoro są oboje młodzi, wolni, skoro kocha ją tak, jak ona jego? Czyż nie jest miłością Willjama w przeszłości? Czyż znajdzie *L'Ombrę* na świecie? Szła w milczeniu, słuchając głosu serca własnego. I jej towarzysz ust nie otwierał. Była to jedna z tych chwil błogosławionych, w których szczęście osłania niejako skrzydłem swojem czoła wydranych.

Wesoła i hałaśliwa czereda rozłożyła się taborem nad szemrzącym cicho strumykiem, nie myśląc jakoś o mozolnem poziomek zbieraniu. Chłódek był tak nęcący, a mech tak miękki! Stary hrabia usiadł obok lady Stève. Zdziwiona, gdzie się podział nagle jej towarzysz, rzuciła okiem w koło. Willjam stał trochę opodal, oparty o pień drzewa rozłożystego, jakby umyślnie unikając towarzystwa gadatliwego. Wzrokiem błędnym gonił widocznie jakieś mgliste obrazy w przestrzeni, a myśl jego odbiegła daleko od całego otoczenia.

— O czem on duma? — spytała się Erminja sama siebie, dotknięta do żywego.

Znikły w jednej chwili, niby bańka mydlana, jej słodkie o szczęściu marzenia. Drażniło ją zamyślenie Willjama. Radaby była wyrwać go z koła marzeń niebezpiecznych i do swojego boku sprowadzić. Zaczęła mówić głośno, aby zwrócić jego uwagę, a gdy i to nie pomogło, wtrąciła nagle, zwrócona ku panu de Bocé:

— Spojrzyj hrabio kochany, ot! tam na prawo... te dwa dęby rozłożyste, ten bluszcz wijący się od jednego do drugiego, i niemal do ziemi dotykający wiotkiemi, zielonemi festonami... jak to przypomina dekoracje aktu drugiego, w najnowszej operze maesta V., kiedy Irma wychodzi z *recitativem* i swoją wesołą *Cavatiną*.

Na te słowa ostatnie Willjam zwrócił machinalnie głowę w kierunku wskazanym. Zirytowana tem do najwyższego stopnia, zerwała się na nogi młoda kobieta, gałązką ciemnej paproci, niby wieńcem czoło otoczyła, udrapowała szal perski na sobie w fałdy fantastyczne i postąpiła naprzód kilka kroków, jak artystka na scenę wychodząca. Szał ją ogarnął, o mało się nie zdradziła, rzucając w przestrzeń pierwsze tony Irmy *recitativa*. W czas jednak przytomność odzyskawszy, zadowolniła się piękną deklamacją tego ustępu, w którym Irma o miłości swojej towarzyszkom zgromadzonym opowiada.

Zerwała nareszcie wieniec z głowy i napowrót na dawnem miejscu usiadła. Całe towarzystwo wybuchnęło oklaskami. Spojrzała z pod oka na Willjama; był blady śmiertelnie i przypatrywał się jej wzrokiem badawczym.

— Czyż by mnię poznał? — zadrżała nierozważna. — Czy tylko wspomnienie błogie w nim obudziłam?...

Gdy napomknięto o powrocie do zamku, Willjam rzucił się szybko i nie czekając na jej przyzwolenie, sam wziął za rękę Erminję i wsunął ją sobie pod ramię. Szedł zrazu w milczeniu, skoro jednak całe grono ich wyprzedziło, przemówił z cicha:

— Musiałaś milady nie opuścić w Wiedniu ani jednego przedstawienia? Jakżebyś mogła inaczej tak cudownie *l'Ombrę* naśladować? Przypomniałaś mi ją najzupełniej! Ta ciemna z liści korona, zastąpiła jej czarne warkocze i podniosła blask oczu niebieskich. O! te jej oczy jasne, jakże one umiały czarno patrzeć, jaka iskra genjuszu w nich świeciła! Masz tę samą postawę, ten sam chód, te same ruchy niezrównane! Gdybyś tak jeszcze zaspiewała, byłabyś tamtą! Niby dwie siostry bliźniaczki, w piękności tak jednak różnorodnej! dwie artystki pierwszorzędne, dwie królowe, godne zasiąść na stopniach tronu!...

— Niestety! Mnie brakuje tamtej uroku najwyższego... głosu, którym tak cię milordzie oczarowała.

— Tyś ją słyszała kuzynko! Powiedz więc sama, czy można zapomnieć o tym głosie? czy nie unosi nas w siódme niebo ten spiew cudowny?

— Jakże atoli da się pogodzić twój zapał kuzynku w podziwianiu *L'Ombry*, z lekceważeniem, niemal z pogardą, którą okazałeś dziś rano dla artystek w ogólności? — wtrąciła Erminja.

— Bo istotnie jest to zawód nader niebezpieczny, dla młodej i pięknej kobiety. Trzebaby chyba anioła z nieba, aby wśród tylu cierni i szkopułów, nie zniszczyć szaty niewinności, i wyjść z tych mętów nieskalaną. Utrzymujesz kuzynko, że *L'Ombra*, to cnota wścielona?... Przyznam ci się, że tajemnica, otaczająca tę postać zagadkową, podrażniła w wysokim stopniu moją ciekawość... Dlaczego tak się ukrywa?... Czy lęka się ludzkich sądów niesprawiedliwych?... Może i ma słuszność!... *L'Ombra* mogła by być jak *Madonna* niepokalaną, a jednak, taka matrona jak lady Fovley, lady Langton i *tutte quante*, zasłoniły by się nie mniej wachlarzem z świętą indygnacją, gdyby kto śmiał wprowadzić śpiewaczkę, na scenie występującą, w ich grono szanowne, gdyby śmiał im przedstawić *L'Ombrę* nieśmiertelną!.... Tak tak! łatwiej wyrwać z głębi ziemi dąb stuletni, niż wykorzenić którykolwiek z przesądów arystokratycznych tego światka naszego! Oni w dumie zapamiętali, uważają sferę swoją niemal za rodzaj *Olimpu*, niedostępnego dla reszty zwykłych śmiertelników! Jeżeli łaska, powiedz mi kuzynko wszystko, co wiesz o *L'Ombrze*. Gdy raz zbadam tę tajemnicę, o wiele mniej będę się nią interesował.

— A więc dobrze — zdecydowała się nagle Erminja. — Opowiem ci, co tylko doszło do mnie o niej.

Gdyby była w tej chwili spojrzała w oczy swojemu towarzyszowi, wyczytałaby i odgadła w jego szeroko rozwartych źrenicach, z jak namiętnym interesem pochłania każde jej słowo.

— Zdziwisz się kuzynku, gdy się dowiesz, żeśmy miały z *L'Ombrą* tego samego metra muzyki...

— Nie... wcale... dawno się tego domyślałem. Jakże się nazywa?

— Nazywał... bo już nie żyje!...

— Czy zdradził przed tobą prawdziwe *L'Ombry* nazwisko?

— Nie... przysiągł jej uroczyście, że tajemnicę poniesie z sobą do grobu.

— Dlaczego?

— Dawał mi do zrozumienia, iż *L'Ombra* pochodzi z rodu znakomitego, tylko osierociawszy, została namówioną, niemal zmuszoną przez opiekuna, melomana zapamiętałego, do kilku występów publicznych. Więcej jednak nie ukaże się na scenie.

— Z jakiejże przyczyny?

— Z miłości... tak sądził przynajmniej nasz wspólny nauczyciel.

— Z miłości? -- książe drgnął nerwowo.

— Dla narzeczonego... nie dla kochanka chroń Boże! Wychowana w zaciszu klasztornem, nie znając reguł i przesądów kodeksu światowego, gdy jej pod tym względem oczy otworzono, chętnie złożyła w ofierze u stóp ukochanego wszystkie swoje wieńce i tryumfy, zapragnąwszy jednej tylko korony... która wieńczy skronie kobiet przez los wybranych, kochanych prawdziwie, i kochających nawzajem...

— Ręczysz więc kuzynko za prawdziwość tych szczegółów?

— Opowiadał mi to jej nauczyciel i serdeczny przyjaciel całej rodziny.

— Dlaczegoż dawno już nie opowiedziałaś mi tej romantycznej historji? — Willjam spojrzał na nią z pewnem niedowierzaniem.

— Wstrzymywał mnie wielki interes, który zawsze dla *L'Ombry* okazywałeś. Myślałam, iż lepiej ci oszczędzić wiadomości, że *L'Ombra* nie należy do siebie... że serce już oddała...

Znowu szli czas jakiś w milczeniu, przerwał je wreszcie książe:

— Więc na pewno kocha i jest szczęśliwą narzeczoną?

Erminja głową skinęła.

— Dzięki kochana lady, żeś mnie odgadła i nie chciała zasmucać... Jestem rozrzewniony twoją dobrocią... Istotnie do głębi wzruszony! — powtórzył głosem drżącym, twarz zmienioną od niej odwróciwszy.

Po chwili przemówił znowu, jakby czuł potrzebę zrzucić z serca zbytni ciężar:

— Wyznaję, iż *L'Ombra* podziałała silnie na moją wyobraźnię. Jej talent tak jest potężny! Wyobrażałem ją sobie natchnioną sztuki kapłanką... li muzyce poświęconą... To zbrodnia, gdy na czyjem czole Bóg wyci-

śnie piętno genjuszu, gdy go stworzy z misją rozsiewania w koło tonów, aniołom odkradzionych, żeby to wszystko stłumić w sobie i schować dla jednego... Prędzej czy później pożałuje zbyt wielkiej ofiary!

— Czemże są jednak dla kobiety kochającej najwyższe tryumfy, obok cichego szczęścia domowego?!

— Nikt z nas nie wart tak wielkiego poświęcenia! — książe zawołał energicznie. — Takie muzy, przez niebo ukochane, powinneby zostać rodzajem Westalek, które miały sobie polecone rozdmuchiwanie ognia świętego. Czyż nie ma oprócz nich tysiąca innych kobiet, dobrych li do stanu małżeńskiego i do dzieci niańczenia?!

Willjam westchnął ciężko, jakby go coś w piersiach dusiło, a Erminja w duchu dodała:

— Oby z tem westchnieniem uleciało na zawsze *L'Ombry* wspomnienie!

Gdy stanęli pod pałacu arkadami, Willjam zatrzymał na chwilę swoją towarzyszkę.

— Jeszcze raz dziękuję ci serdecznie kuzynko za przysługę oddaną! Byłem iście szalonym... ale teraz postaram się odzyskać rozum utracony!

Z czułością obie jej rączki ucałował. Lady Stéve tryumfowała! Zniknie nakoniec cień jej fatalny! Rzeczywistość wyruguje z serca Willjama, ułudne, nie istniejące więcej zjawisko!

IX.

Szybko minęły tygodnie, które miano Villiers-Castle spędzić. Księżna wyjechała do Stèveville w towarzystwie pięknej kuzyneczki, syna i starego, wiernego domu przyjaciela. Podróż była najmilszą w świecie. Powóz toczył się gładko po gościńcu murowanym, panie siedziały w głębi, hrabia de Bocé na przedzie powozu, a Willjam zaś, aby im przestronniej było, zajął miejsce na koźle obok stangreta. Zwracał się często ku damom, aby odpowiedzieć na matki liczne zapytania, przyczem obejmował wzrokiem czułym postać Erminji, która po każdem takiem spojrzeniu płonęła szczęścia rumieńcem

— Oh! Chciałabym jechać tak jak najdłużej, choćby nigdy na miejsce nie przybyć! — zawołała w naiwnem uniesieniu.

— Zapominasz moja piękna — księżna odrzuciła — jaką dla mnie będzie wielką radością gościć ciebie w Stèveville! Byle ci się tylko zamek podobał! Weź na pomoc cały zasób lubej swobody i młodzieńczej wesołości, jaka cię odznacza, abyś się nie przeraziła widokiem zamczyska starego, ponurego, omszonego pleśnią wieków całych, z wysokiemi, szpiczastemi wieżami, z oknami długiemi, wąskiemi, które mają minę kwaśną, jak stary podagrzysta, bojący się światła i powietrza świeżego.

— Księżna mówi tak umyślnie, przez kokieterję, dla odwiecznej ojców swoich siedziby — wtrącił hr. de Bocé. — Z twoim smakiem wytwornym, kochana lady Stève, niepodobna, żeby cię nie zachwycił ten styl poważny, majestatyczność całej budowy, obszerność i przepych sal wewnątrz, piękność wreszcie widoków najrozmaitszych, które odkrywa się z owych okien, tak przez księżnę ogadanych.

— Najgorszy system — księżna zażartowała — wychwalać najprzód, czy to ludzi, czy ich siedziby. Smutnem tego następstwem bywa prawie zawsze rozczarowanie!

I książe zwrócił się teraz do Erminji.

— Nie wierz kuzynko hrabiemu. Stèveville tak różny od twojej siedziby czarownej w Alpino, pełnem woni i blasków słonecznych, iż lękam się doprawdy, żeby jego ponura powierzchowność nie wywarła na twoj umysł przykrego wrażenia. Dla nas, jasnym słońca promieniem w tych szarych murach, będzie twoja obecność.

Noc już była zapadła, gdy wjechali na obszerny dziedziniec, oświetlony fantastycznie światłem purpurowem pochodni. Hrabia pomógł księżnie wysiąść z powozu i na schody marmurowe wprowadził. Willjam podał ramię kuzynce. Gdy weszli do olbrzymiej sieni sklepionej, z misternie rzeźbionemi ławami z dęba czarnego, które stały rzędem po pod ścianami, księżna uściskała czule Erminję, witając ją na progu domu własnego, następnie wzięła ją pod ramię, aby pokazać przygotowane dla niej pokoje, gdzie już od południa czekała na Erminję, wierna, poczciwa Marietta.

Pyszne, trójramienne kandelabry, oświetlały pokój dostatecznie. Mimo, iż wiosna miała wkrótce umknąć z tronu swojego przed skwarnem latem, troskliwa Marietta uznała, że w tych murach wilgotnych nie zawadzi trochę ciepła sztucznego i rozpaliła suty ogień na kominie marmurowym.

— Ah! jak się czuję szczęśliwą! — wykrzyknęła Erminja, skoro znalazła się sama ze swoją wierną sługą. — Marietto! — zagadnęła dawną swoją piastunkę, gdy ta skończyła właśnie ją ubierać do kolacji — pamiętasz moje krucze warkocze i płeć śniadą? Jak mię wolisz? Czy czarną, czy białą?

A widząc minę zagapioną Marietty, która na razie nie mogła zdobyć się na odpowiedź, parsknęła śmiechem wesołym, i obejmując za szyję starą babę, zawołała:

— Nianiu kochana! *L'Ombra* pogrzebana na wieki! Niech żyje lady Stève!

Serce biło jej roskoszą nadziemską; pokój cichy i dość ponury w Stèveville, wydawał jej się w tej chwili jaśniejszym, od owej sali pływającej w morzu światła, drżącej w posadach od oklasków frenetycznych, któremi obsypywała ją publiczność, w entuzjazmie do szału dochodzącym. Wszak tego jedynego spektatora, którego oczy promieniste tak wymownie do niej przemawiały, zobaczy za chwilę, i jutro, i dnia każdego! przecież żyć z nim będzie pod jednym dachem!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki